

Bieszczady w PRL-u

WYBRANE REPORTAŻE

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Arlamów

Cisna

Solina

Ustrzyki Górne

Wetlina

Wołosate

Na granicy sierpa i młota

Na przyległym do Kraju Rad ogryzku ziemi za PRL-u życie biegło według innych praw niż gdzie indziej. Granica dzieliła, ale też łączyła. San – niemy świadek wydarzeń – wciąż przypomina o tamtych niezwykłych czasach.

Sistiema – wielokilometrowa zapora z drutu – nie zawsze przeszkadzała w przekraczaniu zakazanej strefy. Zwłaszcza od strony radzieckiej. Tamtejsi żołnierze przychodzili do Polski kontrolować, polować, a także interweniować.

Czasami po obu brzegach Sanu stawali zwykli cywile i machali sobie na dzień dobry. Jakby tym gestem chcieli pokazać, że granica jest tylko materialna, nie mentalna. Chłopi i chłopki z kółchozów oraz drwale i robotnicy odsłaniający bieszczadzką puszcę pod nowe horyzonty rozumieli często więcej niż niejeden urzędnik czy wojskowy. Że tę granicę poprowadzono bezmyślnie, dzieląc wioski na pół albo zabierając trzy czwarte i zostawiając sąsiadowi płacheć pola.

Kiedyś Bieszczady już coś podobnego przeżyły. W 1939 roku Rosjanin i Niemiec tak wytyczyli granicę, że ludzie z tych samych rodzin, z położonych w pobliżu chałup, z dnia na dzień znalazli się po jej przeciwnych stronach. Rozdzieleni rodzice i dzieci, dziadowie i stryjowie, najbliżsi sąsiedzi

podchodzili potem ukradkiem nad wijącą się zakolami rzekę, by z daleka na siebie popatrzeć bądź ten widok sobie wyobrazić.

Po wojnie granicę, już radziecko-polską, wytyczano dwukrotnie. Ostatecznie w 1951 roku. Gdy z polskiego brzegu patrzy się na Sianki, widać rozległą wieś ze stacją kolejową, cerkwią, szkołą, urzędem. I budynkami sowchozu, który do końca ZSRR, a nawet jeszcze chwilę za niepodległej Ukrainy, dawał pracę co drugiemu mieszkańcowi. Polska została z wąskim pasem ziemi porośniętym drzewami i krzakami, z grobem hrabiny Klary Strońskiej i nazwą na mapie.

Polskiej granicy strzegły Wojska Ochrony Pogranicza, ale ogromny, stu czterokilometrowy obszar był niemożliwy do upilnowania. Żołnierze z WOP-u w Lutowskich, słabo wyposażeni w sprzęt, z jednym wysłużonym gazikiem, w żadnym razie nie mogli być obecni wszędzie tam, gdzie powinni: od Sianek aż po Michniowiec i Bystrę z jednej strony oraz po Ustrzyki Górne i Wołosate z drugiej. – Do bieszczadzkiego worka, jak nazwano przyklejony do ZSRR polski teren z Bukowcem, Beniową, Sokolikami, długo nie było utwardzonej drogi – wspomina mjr Michał Skrzypek z ówczesnej strażnicy w Lutowskich. *CZYTAJ STR. 9*



Sistiema z ogrodzeniem i pasem zarośniętej ziemi widoczna ze szczytu Opolonka

BOSZ

Ziemia odsłania kości

Dwutonowy spychacz wdzierał się w las. Oblepione grubą warstwą ziemi gąsienice pokonały kolejne wzniesienie, pług z impetem wrył się w zakrzaczoną skarpgę. I wtedy operator zobaczył przed sobą coś białego.



Na bunkry i mogiły natrafiano zazwyczaj przypadkiem, podczas prowadzenia robót leśnych czy budowy dróg

Jan Słota wspomina: – W lipcu 1975 roku odwiedził mnie na kwaterze Edward Witkowski, starszy łowczy u pułkownika Doskoczyńskiego. Powiedział, że komendant Mucznego wrócił z urlopu w Szwajcarii i tryska pomysłami. Chciał ze mną pogadać, a jemu się nie odmawiało. Siedział przy kominku w dewizowej leśniczówce, popijał ulubionego martella, stół zastawiony był jedzeniem. Nie patrząc na mnie, powiedział: „Premier [Jaroszewicz] i ja postanowiliśmy wybudować kilka nowoczesnych bacówek pod Bukowym Berdem. Dwie pod Grandyśową Czubą, a jedną lub dwie na Obnodze. Trzeba się spieszyć, bo chcemy jeszcze zbudować stadniny koni wierzchowych”.

Dalej Słota opowiada: – Doskoczyński rozłożył na stole wojskową mapę i w skupieniu zaczął po niej jeździć palcem, wskazując któreś miałyby być poprowadzone szlaki dojazdowe do bacówek. Nie chciałem być niegrzeczny, ale zwróciłem uwagę, że sprawa nie będzie łatwa ze względu na ukształtowanie terenu: wąwozy i potoki. A on mi na to, że ma do dyspozycji wojska inżynierjno-techniczne,

które w ramach ćwiczeń pod okiem fachowców doskonale sobie ze wszystkim poradzą. Polecnie było konkretne – musieliśmy wykonać możliwie najłagodniejsze stokówki; mieli nimi jeździć ważni goście w bryczkach i w siodłach. Zrozumiałem, że trzeba stanąć na głowie, by w tak trudnym obszarze sprostać zadaniu.

Nazajutrz operator Słota w towarzystwie Witkowskiego oraz emerytowanego majora Wojska Polskiego, byłego ochroniarza Piotra Jaroszewicza, pojechali obejrzeć plac budowy. Była niedziela, mieli dużo czasu, więc przystawali, dyskutowali, dzielili wątpliwościami. Ostatecznie jednak wyznaczili pierwszy, dwustumetrowy odcinek do przetarcia.

Doskoczyński rzucił na budowę pluton żołnierzy. Wycinali drzewa i chaszcze, „topili się” w błocie po kolana. – Sam też się nie opierałem, lubiłem wyzwania – zapewnia Słota. – Manewrowałem spychaczem na wszystkie możliwe sposoby, niejednokrotnie byłem o włos od wypadku, runięcia z nasypu w przepaść, ale w końcu jakoś udało się pokonać pierwsze przeszkody. *CZYTAJ STR. 151*

Bieszczady w PRL-u

WYBRANE REPORTAŻE

KRZYSZTOF POTACZAŁA

BoS

Wydawca
Wydawnictwo BOSZ
BOSZ Szymanik i wspólnicy sp. jawna
38-722 Olszanica 311
www.bosz.com.pl

Biuro: Przemysłowa 14
38-600 Lesko
tel. +48 13 469 90 00
faks: +48 13 469 61 88
e-mail: biuro@bosz.com.pl

Spis treści

Od Autora	7
Na granicy sierpa i młota	9
Z namiotem w Bieszczady	21
Ranczo w Wilczej Dolinie	41
Pax i ziemia obiecana	49
Opowieść o Pulpicie	55
Górale pod połoninami	61
Wszystko pochłonie woda	71
Pociągi przez żelazną kurtynę	81
Księżę na Arłamowie	93
Wyroki na niedźwiedzie	111
Niech żyje przyjaźń polsko-radziecka	121
Na małym i dużym ekranie	129
Skradzione ikony, przetopione dzwony	139
Ziemia odsłania kości	151
Zwierzyniec na Wetlińskiej	161
Żołnierze do zadań niezwykłych	169
Chata z czerwonym sztandarem	181
Kryptonim „Marzyciele”	205
Nielegalni z Caryńskiego	219
Kościół zbudowany w jedną noc	243
W obronie wymazanych nazw	257
Chłopski bunt	267
Tęcza nad Tworylnem	279
Literatura	294

Od Autora

Niniejszy zbiór zawiera wybrane reportaże, które w latach 2012–2015 ukazały się w trzech tomach *Bieszczadów w PRL-u*. Niektóre teksty uzupełniłem o kolejne poznane w tym czasie wydarzenia i relacje, inne nieco skróciłem, by nie zanudzać Czytelników zbyt długimi opisami. Zmieniłem kilka tytułów, dodałem garść niepublikowanych archiwalnych fotografii. W dwudziestu trzech rozdziałach ukazałem historie, które wywarły wpływ na postrzeganie i rozumienie Bieszczadów. Życzę ciekawej – mam nadzieję – lektury.

Krzysztof Potaczała

Krzysztof Potaczała – dziennikarz, reporter. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Autor książek: *KSU. Rejestracja buntu* (2010 i 2015), *Bieszczady w PRL-u* (2012), *Bieszczady w PRL-u 2* (2013), *Bieszczady w PRL-u 3* (2015), *To nie jest miejsce do życia. Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczadów* (2017).

W połowie września 1965 roku słynny już na cały kraj żubr opuścił granice województwa rzeszowskiego. Obrął drogę w kierunku Puszczy Pszczyńskiej – tej samej, z której dwa lata wcześniej go odłowiono, załadowano na przyczepę i przewieziono w Bieszczady. To symboliczne wkroczenie na obszar krakowski odnotowano z pewnym żalem: „Czytelników, którzy śledzili trasę Pulpita, nie przestaje nurtować pytanie – czy żubr turysta faktycznie zmierza do ośrodka hodowlanego, w którym się wychował?” – pytał reporter.

W ciągu dwudziestu ośmiu dni Pulpit przemierzył czterysta kilometrów. Został ujęty przez leśników niedaleko Żabna nad Dunajcem i przetransportowany do hodowli w Niepołomicach. Długo tam nie pobył. Przyrodnicy, podejrzewając, że natura Pulpita nie pozwoli mu usiedzieć w miejscu, przekazali go pod opiekę krakowskiemu ogrodowi zoologicznemu. Był jednym z najchętniej oglądanych i podziwianych zwierząt, choć w niewoli zapewne cierpiał. Padł ze starości, a może i z braku wolności, w 1970 roku.

* * *

Legenda Pulpita rosła od dnia pierwszej ucieczki z zagrody w Bereżkach. W latach sześćdziesiątych w Ustrzykach Górnych jego imieniem nazwano studencką bazę namiotową oraz nowo wybudowany bar. Lepszej reklamy knajpa mieć nie mogła. Po latach zmieniono jej nazwę, a i pamięć o słynnym żubrze mocno się zatarła.

Górale pod połoninami

W Wołosatem owce pasał Budz. Takie miał nazwisko oraz dwóch synów. Kiedyś przyjechał z Lutowisk porucznik WOP-u i zapytał: – Wyście są wszystkie Buce? Mogli mu za to wpieprzyć, ale nie wpieprzyli. Czasem i nieustępliwy góral wołał ustąpić.

Od lat pięćdziesiątych z Podhala w Bieszczady pędzono niezliczone stada owiec. Jeszcze tylko tu nie brakowało soczystych, zielonych hal. Górale zostali do tej przeprowadzki zmuszeni po radykalnym ograniczeniu wypasów w Tatrach, gdzie zaniepokojeni zniszczeniami przyrodnicy postawili bacom szlaban. A że połoniny znajdowały się w zarządzie Tatrzańskiego Parku Narodowego, nie było problemu z wydaniem pozwolenia.

Tysiące owiec, juhasi i bacowie. Ci ostatni zazwyczaj stateczni, ich podwładni często wyrwani, lubiący wypić i pohulać. Konfliktów z tutejszymi niekiedy nie potrafili rozwiązać inaczej niż przy pomocy pięści, a w skrajnych wypadkach – wyciągniętego zza paska u spodni noża. Słynne bijatyki rozgrywały się najczęściej w trakcie sobotnich zabaw. To już było w latach sześćdziesiątych. Z połowy Bieszczadów ludzie ściągali do „Pulpitu” w Ustrzykach Górnych, gdzie przy muzyce, secie i galarecie dawali upust nagromadzonym przez tydzień emocjom.

Raz milicyjne raporty odnotowały nawet śmiertelny wypadek, gdy góral za mocno dźgnął kozikiem pewnego inżyniera, ale nie stało się to na zabawie, a w zupełnie innych okolicznościach i podobno bez powodu. W knajpie w wyniku licznych potyczek szczęśliwie nikt nie padł trupem, chociaż krew lała się obficie, niejeden kufel roztrząskał się o czyjs łeb i niejeden „zawodnik” wypłuł zęby.

Po jednej z takich potyczek wybuchła afera. Otóż któregoś letniego dnia na piwo do „Pulpitu” wybrał się po dyżurze ratownik GOPR-u. Nie doszedł jeszcze do drzwi, gdy zaczepił go krewki juhas i, nie wdając się w rozmowę, rozkwaśił mu nos. Goprowiec nie przyjął wyzwania, ale nazajutrz poskarżył się bacy. Ten długo nie myślał – ustawił swoich podwładnych w szeregu i każdemu przykładnie zamalował w pysk. Miał powód – ów goprowiec uratował kiedyś bacę po ukąszeniu żmii, aplikując mu surowicę.

W Stuposianach, w magazynie Zarządu Budownictwa Leśnego, górale magazynowali uwędzone w bacówkach oscypki. Leżały równo w drewnianych skrzynkach od podłogi po sufit. A świeże pachniały tak kusząco, że dzieciaki wdrapywały się na wysokość okienka pod dachem i, podtrzymywane przez kolegów, wciskały nosy przez wybitą szybę. Jak najgłębiej, by mocno poczuć wyrzeźbione góralskimi dłońmi sery. Niektórzy z dorosłych dziwili się tej dziecięcej ciekawości, a nawet się śmiali. Zapewne dlatego, że przed oczami stawał im obraz dojącego owcę juhasa o rękach czarnych jak



Czas wyjść na pastwiska / Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

ziemia, któremu mleko z wyciskanych cycek zalewało palce i mieszało się z resztkami zwierzęcych odchodów. Ale nie brakowało smakoszy, którzy oscypki jadali na co dzień.

Górale mieli dobre układy z załogą ZBL. Robotnicy używali im czasami darmowego noclegu. Ostatni pekaes dojeżdżał do Stuposian o godzinie dwudziestej, więc do bacówki w Dźwiniaczu czy Sokolikach juhas mógł dotrzeć tylko piechotą. Umęczony, wołał poprosić o przenocowanie, tym bardziej że po zmroku nie kursowały w tamtym kierunku żadne prywatne i państwowe samochody.

Bywały jednak i takie sytuacje, gdy późnym wieczorem do izby w baraku wchodził jej gospodarz i we własnym łóżku zastawał chrapiącego w najlepsze górala. – Dwa razy mi się to przydarzyło – opowiada Jan Lubiński, w latach siedemdziesiątych kierowca ciężarówki. – Co miałem robić? Budzić chłopinę, tłumaczyć, że to nieelegancko włączyć do czyjegós posłania? Miałem w sobie jakąś wyrozumiałość, więc kładłem się spać w innej sali, gdzie zawsze znalazło się wolne wyrko.

Kwaternujący „na waleta” góral umiał się jednak odwdziżyć i następnym razem przywoził pakunek serów bądź garniec żętycy. Nie wszystkie żołądki ją tolerowały. Co wrażliwsi po jej spożyciu natychmiast wymiotowali, czego doświadczył również Lubiński. – Kiedyś baca w dowód wdzięczności za podwiezienie zaprosił mnie do bacówki w Wołosatem. Myślałem, że strzelę kielicha i spokojnie wrócę do hotelu w Terebowcu, ale nie. Z wielkiego gara nalał mi żętycy i kazał pić do dna. A to nie był jakiś tam garnuszek, tylko litrowa bańka. Musiałem wlewać w siebie to świństwo, żeby

bacy nie obrazić. Kiedy z trudem w końcu wyszedłem na zewnątrz, mój organizm nie wytrzymał. Strasznie mnie darło, myślałem, że flaki wypruję.

We wspomnieniach tubylców górale jawią się na ogół jako ludzie serdeczni i gościnni. Roman Babczyk, który w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jako majster ZBL pracował przy budowie bieszczadzkich dróg, wspomina ich z życzliwym uśmiechem. – Często zachodziłem do bacówek, pod Wetliną miałem znajomego, u którego zaopatrywałem się w sery. Miał dużo owiec, dwóch juhasów do pomocy, robili sporo oscypków i bundzu. Ale o ile okolicznym mieszkańcom chętnie te wyroby sprzedawali, czasem za symboliczną cenę, to turystom już z oporami. Jakoś ich nie lubili. Kiedyś byłem świadkiem, jak baca na widok piechurów z plecakami zerwał się z zydła, przywołał juhasa i kazał mu prędko dokładać do ognia, żeby wzniecić w bacówce większy dym. Gdy turyści weszli do środka, gryzący dym po minucie ich wypędził. Dla górali to byli nieproszeni goście. Nie lubili zwłaszcza takich, którzy mieli na wszystko ochotę, lecz strasznie się targowali, żeby zapłacić jak najmniej. Zdarzało się wtedy, że wkurzony baca dolewał do żętycy nadmierną ilość podpuszczki, której działanie powodowało u konsumenta ostrą sraczkę. Miałem też zaprzyjaźnionego górala z bacówki za Tarnawą Niżną. W 1969 roku budowaliśmy w tym rejonie drogę, więc niekiedy do niego zachodziłem. Żeby nie iść w gości z pustymi rękami, brałem zawsze jakiś prezent: brzeszczot, pilnik, młotek albo torbę gwoździ. Gospodarz umiał to docenić, nie żałował serów, a jak nam trzeba było barana na ognisko, potrafił wybrać najładniejszego, zaszlachtować i jeszcze doradzić, jak go przyrządzić.

Bacowie z Wołosatego, Berehów, Sokolik, Dźwiniacza raz na jakiś czas ładowali oscypki i bundz na furmanki i zjeżdżali do umówionych punktów, zlokalizowanych najczęściej obok sklepów. Stąd ciężarówkami transportowano sery do mleczarni w Rymanowie, gdzie bundz przerabiano na bryndzę. – Jej smak śni mi się po nocach – rozmarza się Witold Augustyn, od lat pięćdziesiątych szef wielu budów prowadzonych przez ZBL. – Prawdziwie owcza bryndza była dla nas, ludzi Bieszczadów, składnikiem codziennej diety. Również smaku oscypków nie zapomnę do śmierci. Ale tych wyrabianych bezpośrednio w bacówkach, moczonych w miednicy z solanką, wędzonych przez siedem dni pod okapem bacówki i pachnących dymem. Jedliśmy je przysmażane na maśle, z chlebem, bez chleba; na wszelakie sposoby. W latach dziewięćdziesiątych kupiłem oscypek w sklepie. W niczym nie przypominał tego oryginalnego.

Przygód z udziałem górali nie brakowało jak Bieszczady długie i szerokie. Witold Augustyn wspomina: – W 1962 roku ZBL rozpoczął w Ustrzykach Górnych budowę osiedla leśnego. Któregoś razu przyjeżdżam do Górnych, a obok wykopów pod budynki rośnie bacówka. Pracującym przy niej juhasom nakazałem natychmiastowe przerwanie robót i rozebranie konstrukcji. Za bardzo się nie przejęli, powiedzieli tylko, że oni w tym miejscu zakładają bacówkę nie pierwszy raz, a poza wszystkim to ja wlażłem na ich teren. Poradzili mi też, żebym zaczekał na bacę, to się z nim rozmówię, a tymczasem oni będą kontynuować robotę. Spotkałem się z nim dopiero na trzeci dzień. Próbowałem mu wytłumaczyć, że ta okolica jest zła na wypas owiec, bo wszędzie

Pociągi przez żelazną kurtynę

Na schodach wagonów stali żołnierze, kolejni z psem patrolowali skład od wewnątrz. Pasażerowie nie mogli otwierać okien, a jeśli któryś wyrzucił na zewnątrz papiera, strażnik natychmiast chwycił za hamulec.

Podobnych przypadków w historii pociągu, który przez trzydzieści lat kursował z Zagórza przez ZSRR do Przemyśla, a później także do Warszawy – było mnóstwo. Zazwyczaj nikt nie chciał się przyznać, jednak radzieccy żołnierze łatwo nie odpuszczali. Podróżnych zasypywali lawiną pytań: kto, co, dlaczego, na trzeźwo czy pod wpływem, z własnej woli czy na polecenie. I tak dalej. Działo się to w polskim pociągu, ale na obszarze obcego państwa, dlatego żołdaci mieli prawo legitymować, przeszukiwać bagaże i prowadzić śledztwo tak długo, aż ustalą sprawcę.

Z jakich przyczyn uruchomiono tranzyt przez ZSRR bez konieczności odprawy paszportowej i celnej? Kiedyś linia Zagórz–Przemyśl przebiegała wyłącznie przez terytorium Polski, ale po wojnie wschodni pas z Chyrowem i Dobromilem przypadł Związkowi Radzieckiemu. Polacy chcieli jednak podróżować koleją do Przemyśla, a stamtąd w głąb kraju, Rosjanie zaś dostrzegli interes w eksportowaniu pociągami potrzebnych w sowieckich kołchozach materiałów i sprzętu.

Umowę między PRL a ZSRR o ruchu tranzytowym podpisano pod koniec 1962 roku. W styczniu 1963 na stacji granicznej w Krościenku koło Ustrzyk Dolnych zatrzymał się pociąg relacji Zagórz–Przemyśl. Na tę chwilę czekali dziennikarze i fotoreporterzy, oficjele z regionu i centrali, kolejowa orkiestra, mieszkańcy. Gomułka i Chruszczow obecni nie byli, ale ich portrety zdobiły fasadę stacji kolejowej, a napis wielkimi literami głosił nierozzerwalną przyjaźń polsko-radziecką. Odtąd pociągi – pasażerskie i towarowe – sunęły przez czterdziestodwukilometrowe terytorium ZSRR codziennie, a w późniejszych latach dwa razy dziennie, kursem rannym i popołudniowym. Pasażerski skład szybko ochrzczono „strzałą południa”, choć toczył się po torach nader wolno i tylko po stronie sowieckiej osiągał w porywach prędkość siedemdziesięciu kilometrów. Dla podróżnych nawet lepiej – przylepieni do szyb mogli „podziwiać” dawne polskie miejscowości. Nie przypominały już tych sprzed wojny, wyglądały buro i liszajowato, ale żyły w ludzkich sercach.

Wśród podróżnych zdarzali się i tacy, którzy po stronie wschodniej mieli rodzinne korzenie. Można ich było poznać po stężonych, skupionych twarzach i po tym, że ukradkiem ocierali łzy na widok utraconej krainy. Niekiedy ci ludzie doznawali dojmującej potrzeby wygadania się – spowiedzi o rzeczach przeszłych, miejscach zapamiętanych, a teraz zupełnie innych. Choćby o dziurawych chyrowskich uliczkach,



Krościonko, styczeń 1963. Orkiestra kolejowa w oczekiwaniu na inauguracyjny pociąg relacji Zagórz–Przemyśl przez terytorium ZSRR. Na frontonie budynku stacji portrety przywódców PRL i ZSRR: Władysława Gomułki i Nikity Chruszczowa / Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały



Ten dzień był wielkim świętem, na które zaproszono do Krościonka zarówno radzieckich oficerów, jak i mieszkańców przygranicznych miejscowości / Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

kościół zamienionym na dyskotekę, obrabowanym jezuickim konwikcie. Jechali ci ludzie przez ZSRR nie zawsze z potrzeby załatwienia w Przemyśle konkretnej sprawy, nie w bieszczadzką turystykę, ale po to, by się napatrzyć i nie zapomnieć. W takie sentymentalne wojaże wyprawiali się nieraz rokrocznie – zabierali żony, mężów, dzieci, a potem wnuki.

Od granicy w Krościenku skład sunął w kierunku Przemyśla jako osobowo-towarowy. Do lokomotywy zaczepiano cztery wagony pasażerskie, a następnie – w zależności od przewożonego ładunku – kilka lub nawet kilkanaście platform wagonowych. To na nich jechały produkowane w Zaslaviu koło Zagórza przyczepy do traktorów, węgiel, tarcica, materiały budowlane. Na podobnych platformach wwożono do Polski ciągniki rolnicze Władymirec T-25. Wymianę handlową żelaznym traktem prowadzono aż do końca ZSRR.

Kolejarze od Zagórza po Ustrzyki Dolne nie utrzymywali żadnych kontaktów służbowych z ich odpowiednikami po sowieckiej stronie. Inaczej obsada w Krościenku. Tamtejszy dyżurny ruchu miał bezpośrednie połączenie z kolejarzem radzieckim, siedzącym w budce za szlabanem, i przez telefon prosił go o zezwolenie na odprawienie pociągu. – Kiedy wszystko było w porządku, na pulpicie zapalała się biała lampka – opowiada Zdzisław Tkacz, w latach osiemdziesiątych dyżurny ruchu PKP. – Tylko wówczas skład mógł odjechać ze stacji, ale zdarzały się przypadki, że zaświecała się biała lampka, pociąg miał ruszać, a nagle Iwan zmieniał zdanie. Zazwyczaj na coś się wkurzał i postanawiał pokazać, kto tu rządzi. Z czasem ja i moi koledzy wycwaniiliśmy się. Gdy tylko otrzymywaliśmy zgodę na przejazd, natychmiast otwieraliśmy semafor. Wtedy już nie dało się cofnąć decyzji.

Rozmowy między polskimi i radzieckimi kolejarzami były nagrywane. Kiedy dyżurny w Krościenku podnosił słuchawkę telefonu, automatycznie po obu stronach granicy włączały się magnetofony szpulowe. Sowieccy kolejarze prawie nie znali języka polskiego, ale bez trudu udawało im się porozumiewać z Polakami, bo ci posługiwali się jako tako rosyjskim (był obowiązkowy w szkole). Ponadto wśród radzieckich pracowników kolei było parę osób mających polskie pochodzenie. – Wyczuwało się to po akcencie, a czasami po jakimś słowie używanym zapewne w domu – mówi Eustachy Sokół, który kierował ruchem pociągów na stacjach w Ustrzykach i Krościenku. – To byli fajni ludzie, nawet zaprzyjaźniłem się z jednym dyżurnym ze Starzawy, lecz długo nie mieliśmy sposobności do spotkania. Kiedy już za niepodległej Ukrainy taka możliwość zaistniała, pojechałem do Starzawy. Próbowałem odnaleźć znajomka, ale on już leżał na cmentarzu.

Zdzisław Tkacz: – W Starzawie pracowała też pewna kobieta. Zawsze pozdrowiła, czasami się zaśmiała. Jednak na nic więcej sobie nie pozwalała, by nie być posądzoną o wykorzystywanie służbowej linii do „podejrzanych” rozmów z Polakami.

– A czy ktoś dzisiaj wie, że urządzenia na stacji PKP w Krościenku były radzieckie i że tylko ich monterzy mogli cokolwiek przy nich grzebać? – pyta Roman Małek, dyżurny ruchu w tej granicznej miejscowości od 1982 roku. – Dziwiło nas, że mają



Tłumy pasażerów i ciekawskich na stacji w Krościenku / Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały



Na granicy polsko-radzieckiej, tuż za Krościeniem / Fot. Andrzej Kizimowicz

takie prawa na naszym terytorium, ale jedyne, co mogliśmy, to podporządkować się ich przepisom.

– Podobnie rzecz się miała z pociągami – dodają inni kolejarze. – Co prawda na trasie do Przemyśla kursowały polskie składy, z polskimi drużynami konduktorskimi i maszynistami, ale to „ruscy” o wszystkim decydowali, oni rządili. A wszystko przez tę ich chorobliwą podejrzliwość i lęk o bezpieczeństwo. Tam nie przedstawiano ani na moment myśleć, że z naszej strony ktoś może dokonać sabotażu. Czy to rękami pracowników kolei, czy kogokolwiek innego.

Kiedy pociąg z wolna wtaczał się na granicę, stawał do rutynowej kontroli. Służby ZSRR dokładnie oglądały skład z góry, od wewnątrz i z dołu. – Dwóch żołdatów z latarkami i psami metr po metrze sprawdzało spód wagonów – pamięta Sokół. – Ta skrupulatność świadczyła o jednym: brali pod uwagę, że może tam być zawieszony nawet ładunek wybuchowy.

Mariusz Twardowski jechał kiedyś z koleżanką pociągiem „Solina” relacji Warszawa – Zagórz. Mało świadoma kobieta tak się rozżaliła nad losem młodego radzieckiego żołnierza pilnującego wagonu, że postanowiła go poczęstować kanapką z szynką. Podeszła i powiedziała: – *Pažausta, kuszaj*. Kiedy przerażony pogranicznik odparł: – *Izwienitie, nielzja*, dziewczyna zwróciła się do niego po polsku: – Jedz, nie bój się, nie jest zatrute! Jedyne, na co było stać zdumionego żołdata, to powtarzanie w kółko: *nielzja*. Jego przerażone oczy widać było dobrze nawet spod wielkich gogli, które chroniły przed gryzącym dymem z komina lokomotywy. Podobne gogle (motocyklowe, do nurkowania lub narciarskie) mieli także inni strażnicy pełniący służbę na stopniach pociągu.

Musieli z całą surowością interweniować, gdy podróżny, któremu kroili się serce na widok obdartych dzieci zalegających przydrożne skarpy i nieśmiało machających pasażerom, obdarowywał je rzucanymi z pociągu cukierkami. Wszystko, co w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wylądowało na gruncie Kraju Rad, musiało zostać wnikliwie zbadane. Każdy niedopałek papierosa, ogryzek, papierowa torba, butelka mogły być niebezpieczne. Znalezione dowody rzeczowe poddawano oględzinom. Bo na papierze ktoś mógł napisać słowo przeciwko Sojuzowi, oszkalować Chruszczowa albo Breżniewa. A kanapka mogła być okraszona trutką na szczury.

– Mój znajomy lekkomyślnie wyrzucił puszkę po soku pomarańczowym – pamięta Mariusz Twardowski. – Po zatrzymaniu składu pogranicznik podszedł do niej jak do tykającej bomby. No a potem widzieliśmy z przedziału, jak owa puszka została pocięta na najdrobniejsze paski... Staliśmy wtedy w szczerym polu dwie godziny.

W kwietniu 1970 roku pod Dobromilem zatrzymano skład z powodu zmiętej kulki papieru śniadaniowego. Edward Staszewski, emerytowany funkcjonariusz MO i policji wspomina: – Dostaliśmy powołania do wojska i wiadomo, że trzeba było coś wypić. Siedziało nas w przedziale kilku. Dobrze się bawiliśmy, ale kolega zgłodniał, zjadł bułkę i cisnął papierek przez uchylone okno. To się stało akurat w momencie, gdy pociąg wszedł w zakręt i zwolnił. W tej samej chwili aż nas rzuciło do przodu, taki ten hamulec był mocny. Zaczęło się bieganie „ruskich” wzdłuż składu, pokrzykiwania,



W tej zabytkowej cerkwi greccy komuniści składowali w latach pięćdziesiątych obornik / Fot. Krzysztof Potaczała



„Mychajło” i „Iwan” – dzwony cerkiewne z Lutowisk, ukryte przez miejscowych grekokatolików tuż przed ich wysiedleniem w 1951 roku w głąb ZSRR. Odkopane w 1999 roku / Fot. Krzysztof Potaczała

Nie kto inny, jak właśnie załoga z ZBL uratowała także urokliwą kapliczkę w Grąziowej. – Przy wytyczaniu drogi okazało się, że stoi w jej centralnym punkcie – pamięta Roman Babczyk. – Gdybyśmy byli nieświadomi, co możemy unicestwić, pewnie przejechałby po niej staliniec. Ale umiejętnie ominęliśmy kapliczkę o kilka metrów.

W zburzonych i spalonych bieszczadzkich wsiach natrafiano po latach głównie na pozostałości piwnic, studnie i cmentarze. – W 1962 budowaliśmy drogę w Smereku – wspomina Fryderyk Brózda, drogowiec z ZBL. – Na Wszystkich Świętych robotnicy pojechali do domów, zostałem sam. Rankiem wyszedłem na spacer, patrzę, a w trawie palą się lampki. Zdziwiło mnie to, nie myślałem, że we wsi są jakieś groby. Potem prowizorycznie oznaczyliśmy to miejsce, żeby w czasie robót nie zahaczyć o nie koparką albo spychem. Taka rzecz mogła się zdarzyć, bo w chaszczach i panoszącej się olszynie nagrobków nie było widać. Podobnie jak podmurówki cerkwi. Podczas prac drogowych natrafiano na zrujnowane cmentarze, ale nie znam przypadku, żeby przewracano pomniki i nimi utwardzano nawierzchnie. Używaliśmy natomiast kamienia z piwnic czy ruin budynków; doskonale nadawał się na oporniki do krawężników i do umacniania przepustów.

Rudol Krasulak, majster ZBL w Zatwarnicy. – Mnie tylko raz zdarzyło się rozbierać fragmenty sakralnego obiektu. – To było w Hulskiem, w ruinach cerkwi. Wtedy jeszcze mało kto myślał o ochronie takich pozostałości, a że kamień był jakościowo dobry, chciałem go wykorzystać do budowy przepustu. Robotnicy załadowali wywrotkę, lecz kiedy dwa dni później znowu przyjechałem do Hulskiego, na murach paliły się znicze. To mnie otrzeźwiło. Nigdy więcej nie wziąłem stamtąd nawet kamyka. Wiem natomiast, że w czasie budowy drogi w Rajskim, obok mostu na Sanie, odkryto fundamenty kapliczki. Podobno przebiegu trasy nie można już było zmienić i zostały pod asfaltem.

Z pozorów w niedostępnych, wciąż pozbawionych dogodnych dróg miejscowościach, ginęły cmentarne i przydrożne krzyże. Kute przez nie byle jakich kowali. Takich powolonych krzyży, leżących w trawie, opartych o drzewo, przepadły dziesiątki, może setki. Już we wczesnych latach pięćdziesiątych Bieszczady penetrowali kolekcjonerzy, handlarze, świętokradcy. Swego czasu milicja w zupełnie innej sprawie przeszukała dom jednego z takich ludzi i przy okazji odkryła zbiór zrabowanych sakraliów, w tym nagrobnych i cerkiewnych krucyfiksów. – Nikt nie policzy, ile cennych przedmiotów uległo zniszczeniu albo zostało zrabowanych – twierdzi Andrzej Szczerbicki z Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Ustrzykach Dolnych.

Na kradzieże poukraińskiej substancji było w PRL-u powszechne przyzwolenie. Kiedy cerkwie zamieniano na spichlerze i magazyny, ich administratorzy mogli zrobić ze świątynnym wyposażeniem dosłownie wszystko. W ustrzyckiej cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Bożej (1874 rok) w latach siedemdziesiątych walały się na chórze, w zakrystii i po kątach dokumenty, księgi, ikony, lichtarze. Traktowano je jak nikomu niepotrzebne odpady, a kiedy skład materiałów budowlanych zlikwidowano, przez dłuższy czas budynek stał otworem dla każdego, stanowiąc miejsce zabaw dla dzieci i pijacką spelunę. Gdy w 1985 roku cerkiew oddano grekokatolikom, nie zastali prawie nic. Wiadomo, że skradzione zostały lichtarze i kilka obrazów, nie ma pewności, co stało się z księgami.



Ruiny cerkwi greckokatolickiej w Hulskiem. To z niej robotnicy wzięli kamień do utwardzania przepustów / Fot. Krzysztof Potaczała



Między innymi w takich opuszczonych chyzach złodzieje znajdowali stare ikony / Fot. ze zbiorów Krzysztofa Potaczały

Magazyn był też w cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Bożej w Baligrodzie (1829 rok). Przez rok (w latach 1946–1947) świątynia była przechowalnią dla sprzętów liturgicznych zwożonych z sąsiednich greckokatolickich parafii. Znalazły się tu przedmioty kultu religijnego z cerkwi w Roztokach Dolnych, Kielczawie, Cisowcu, Stężnicy, Jabłonkach, Kołonicach, Huczwicach i Rabem – między innymi ornaty, chorągwie, krzyże, obrazy. Większość z nich zrabowali 20 sierpnia 1947 roku żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wywoząc łupy w niewiadome miejsce. Zachowała się natomiast baligrodzka ikona Matki Boskiej z Dzieciątkiem, którą można podziwiać w sanockim Muzeum Budownictwa Ludowego.

Los srogo obszedł się ze świątyniami obrządków wschodnich. Gdyby większości z nich nie przejął w użytkowanie Kościół katolicki, popadłyby w ruinę i obecnie z dawnej substancji nie zostałyby nawet trzecia część. Niewielu było ludzi, także wśród hierarchii kościelnej, którzy rozumieli, że przynajmniej niektóre z tych cerkwi, w szczególności drewniane, to architektoniczne perły (na przykład cerkiew greckokatolicka w Smolniku nad Sanem z 1791 roku czy prawosławna w Turzańsku z 1803, obie w 2013 roku wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO). Za Polski Ludowej nie reagowano nawet na tak drastyczne przypadki bezczeszczenia obiektów kultu religijnego, jak składowanie w nich gnoju. Chociażby w cerkwi pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Liskowatym (1832 rok), zamienionej w oborę przez komunistycznych emigrantów z Grecji.

Ginęły ikony, kielichy, figury; ginęły także dzwony. Jedne przetapiano na broń, z innych odlewano pomniki „czerwonych bohaterów”. Pomnik generała Karola Świerczewskiego w Przemyślu powstał podobno właśnie z bieszczadzkich dzwonów, w tym pochodzących z cerkwi w Strwiążyku. – Opowiedział mi kiedyś o tym pewien funkcjonariusz milicji, ale zaklinał się, że osobiście nie brał udziału w rabowaniu dzwonów – mówi niestrudzony badacz cerkiewnych historii, który pragnie pozostać anonimowy ze względu na charakter swojej pasji. Jest pewne, choć nie ma dowodów co do miejsca i postaci, że ze zrabowanych dzwonów odlano jeszcze co najmniej dwie podobne „pamiątki”.

Tajemnice zaginionych lub skradzionych w Bieszczadach dzwonów sięgają jeszcze pierwszej wojny światowej, kiedy zaczęto je masowo konfiskować, przetapiać i wykorzystywać do produkcji broni. Miejscowy lud dobrze zapamiętał tamten czas; wiedział, że gdy tylko dojdzie do kolejnego konfliktu zbrojnego, sytuacja się powtórzy. – Gdy w 1939 roku wybuchła wojna, religijni Bojkowie natychmiast zdjęli większość z użytkowanych dzwonów i zakopali – ciągnie bieszczadzki tropiciel zabytków. – Kiedy zaś w 1947 roku południowo-wschodnie rubieże Rzeczypospolitej objęła operacja „Wisła”, naprędce starano się ukryć resztę.

Pas Bieszczadów Zachodnich (rejon Ustrzyk, Czarnej, Lutowisk) znalazł się w granicach ZSRR już w roku 1944. Oddano go Polsce w ramach wymiany terytoriów przygranicznych w 1951 roku i niemal natychmiast rozpoczęła się akcja poszukiwania zakopanych dzwonów. Jednakże nie przez ostatnich mieszkańców, bo tych wywieziono w głąb Związku Sowieckiego, lecz przez organa państwa. Funkcjonariusze Urzędu



Pozostałości cerkwi greckokatolickiej w Krywem nad Sanem. Świątynia w trakcie akcji „Wisła” ocalała, ale już kilka lat później zaczęła się jej dewastacja i grabież / Fot. Krzysztof Potaczała



Na cmentarzu w Stuposianach pozostało jedynie kilka nagrobków / Fot. Krzysztof Potaczała

Bezpieczeństwa Publicznego wraz z siecią agentów penetrowali wioski, a każdy odnaleziony dzwon rekwirowali. Prawdopodobnie w tym czasie wykopano dzwony należące do cerkwi w Ustrzykach Dolnych, lecz na tym ślad się urywa. Do 1953 roku służyły społeczności Rabego koło Czarnej. Mimo stanowczego sprzeciwu wiernych funkcjonariusze bezpieki pozostali nieugięci – wywieźli dzwony wraz z kilkoma innymi odnalezionymi w górskich wsiach. Nieznane są również losy dzwonu z wyrytą na nim cyrylicą niewyraźną inskrypcją (nie wiadomo, dla której cerkwi pierwotnie go odłano), który do początku lat sześćdziesiątych wisiał na dzwonnicy ustrzyckiego kościoła parafialnego.

Dzwonów szukała nie tylko bezpieka, milicja i – działający na własną rękę – poszukiwacze. Kiedy po 1956 roku garstka autochtonów zdecydowała się powrócić w rodzinne strony, miała na uwadze także i to, by przypilnować ukrytego cerkiewnego majątku. Wierząc, że nadjedzie czas, gdy bez obaw o konfiskatę będzie można wyciągnąć z ziemi zakonserwowane dzwony i znowu je „powołać do życia”. – Taki czas nadszedł, ale znacznie później i z dużym oporem peerelowskich władz, a później ich następców – mówią ochroniarze zabytków. – Bo oni, ci nowi, też nie kochali Ukraińców oraz wszystkiego, co ukraińskie.

W latach sześćdziesiątych o dzwonach zrobiło się cicho. Tak było aż do schyłku PRL-u. Wtedy w Bieszczady coraz częściej zaczęli przyjeżdżać byli gospodarze oraz ich potomkowie. Na nowo podjęli próby odnajdywania ukrytych kiedyś w skrzyniach i zakopanych dzwonów. W ruch poszły sztychówki, kilofy, wykrywacze metali. Udało się byłym mieszkańcom Żurawina. W 1989 roku odnaleźli dzwon ze zniszczonej trzydziści dwa lata wcześniej cerkwi (ruchome wyposażenie świątyni zdołano uratować tuż przed wysiedleniami w 1951 roku; przewieziono je do Dniestrzyka Dębowego na Ukrainie). Przez trzy lata przechowywali go w sąsiedniej Boberce, a potem przetransportowali do swojej wsi w obwodzie chersońskim. Odnaleziono zaledwie jeden spośród pięciu dzwonów z Sianek, ale już nie powiodły się próby zlokalizowania innych: w Dydiowej i Łokciu (ukrytych w 1945 roku) oraz w Trzciancu. Dzwony z Beniowej zabrali podobno polscy żołnierze, te z Wetliny, Łopienki i Dołżycy zrabowali w trakcie wojny Niemcy. O szeregu podobnych, równie cennych i drogich sercu wiernych nie ma informacji – tych z Bukowca, Stuposian, Caryńskiego; z Ustrzyk Górnych, Wołosatego, Żubraczego. I tak dalej. Natomiast jakimś cudem ocalał dzwon z Ruskiego, znajdujący się obecnie przy kościółku w Chmielu, oraz dzwony z Liskowatego. Udało się także uratować, też nie bardzo wiadomo, jakim sposobem, jeden z dzwonów należących do cerkwi w Hulskiem. Służy on współcześnie katolikom w Terce.

Do ukrycia dzwonu niedługo przed wysiedleniem przyznali się publicznie dawni mieszkańcy Bystrego koło Czarnej. W 1993 roku odwiedzili wieś i – czy to przez naiwność, czy też nadmierną ufność – wskazali kryjówkę pod podłogą cerkwi poznanemu na miejscu lumpowi, który na lumpa im nie wyglądał, a w dodatku wykazywał troskę o nieużytkowaną budowlę. Po wyjeździe Ukraińców mężczyzna włamał się do świątyni, wyciągnął dzwon i zakopał w lesie z zamiarem spieniężenia na czarnym rynku.



Krzysztof Potaczała

Dziennikarz, reporter. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Autor książek: *KSU. Rejestracja buntu* (2010 i 2015), *Bieszczady w PRL-u* (2012), *Bieszczady*

w PRL-u 2 (2013), *Bieszczady w PRL-u 3* (2015), *To nie jest miejsce do życia. Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczadów* (2017).

W obronie wymazanych nazw

Od lat mieszkali w Dwerniku, a któregoś dnia nagle obudzili się w Przelomie. Do pracy w Lutowskich przestali jeździć przez Dwerniczek, a zaczęli przez Jodłówkę, choć ani o metr nie zmienili trasy. Kiedy zaś chcieli odwiedzić rodzinę w Stuposianach, witała ich tablica z napisem Łukasiewiczze. Paskudne to było uczucie.

1 października 1977 roku zmieniło na południowo-wschodniej Polsce nazewnictwo ponad 120 miejscowości. Bieszczady ucierpiały najbardziej. Nie było gminy, w której ostałyby się wszystkie dotychczasowe nazwy, niezależnie od tego, czy ktoś w nich mieszkał, czy były od końca wojny jedynie miejscami na mapie, gdzie częściej zachodziły dzikie zwierzęta niż ludzie. Szokującą decyzję władze PRL-u podjęły bez konsultacji z mieszkańcami (choć zgodnie z przepisami ustawy o radach narodowych z 28 maja 1975 roku powinni oni wypowiedzieć się w tej kwestii na zebraniach wiejskich), a powodem nazwicznej rewolucji była ponoć niechęć niektórych osobistości z partyjnego świeżnika do wszystkiego, co miało zabarwienie inne niż polskie. Rejon przy granicy z ZSRR i częściowo z Czechosłowacją usiany był wioskami o brzmieniu ruskim, wołoskim, tatarskim czy węgierskim. W Bieszczadach – zwłaszcza ruskim, w dzisiejszym rozumieniu ukraińskim. Wszystkie te nazwy musiały zniknąć i tak też się stało, nad czym czuwała Komisja

Ustalania Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych.

Polonizacja była wymierzona również w mniejszość ukraińską na Podkarpaciu, która – mimo niechęci władz, od sołtysa po naczelnika gminy i sekretarza partii – kultywowała swoje tradycje, zwyczaje i język. Garstka autochtonów, wysiedlonych z Bieszczadów i Beskidu Niskiego w trakcie operacji „Wisła”, zdecydowała się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych na trudny powrót w rodzinne strony. Nielicznym udało się ponownie osiedlić w dawniej zamieszkanym przez siebie wsiach, inni – mogąc dostąpić takiej łaski ze strony ludowej władzy, osiedlali się w ich pobliżu. Dla nich wymazywanie istniejących od wieków nazw było kolejnym upokorzeniem i wyraźnym sygnałem, że mniejszości nie będą miały w PRL-u łatwego życia. Zmiany nazwiczne spotkały się z oficjalnym sprzeciwem Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, które uznało tę operację za przejaw zacierania śladów życia Ukraińców na tych terenach.

Największą i pierwszą próbą zmiany nazw miejscowości w powojennej Polsce, nie licząc obszarów poniemieckich, była ta z listopada 1973 roku. Dotyczyła województw lubelskiego, rzeszowskiego i biłostockiego. Wojewodowie zostali zobligowani do sporządzenia projektu zmian nazw wsi i osad...

CZYTAJ STR. 257

Górale pod połoninami

W Wołosatem owce pasał Budz. Takie miał nazwisko oraz dwóch synów. Kiedyś przyjechał z Lutowsk porucznik WOP-u i zapytał: – Wyście są wszystkie Buce? Mogli mu za to wpieprzyć, ale nie wpieprzyli. Czasem i nieustępliwy góral wołał ustąpić.

Od lat pięćdziesiątych z Podhala w Bieszczady pędzono niezliczone stada owiec. Jeszcze tylko tu nie brakowało soczystych, zielonych hal. Górale zostali do tej przeprowadzki zmuszeni po radykalnym ograniczeniu wypasów w Tatrach, gdzie zaniepokojeni zniszczeniami przyrodniczy postawili bacom szlaban. A że połoniny znajdowały się w zarządzie Tatrzańskiego Parku Narodowego, nie było problemu z wydaniem pozwolenia.

Tysiące owiec, juhasi i bacowie. Ci ostatni zazwyczaj stateczni, ich podwładni często wyrwini, lubiący wypić i pohulać. Konfliktów z tutejszymi niekiedy nie po-

się po dyżurze ratownik GOPR-u. Nie doszedł jeszcze do drzewi, gdy zaczął go krewki juhas i, nie wdając się w rozmowę, rozkwaślił mu nos. Goprowiec nie przyjął wyzwania, ale nazajutrz poskarżył się bacy. Ten długo nie myślał – ustawił swoich podwładnych w szeregu i każdemu przykładnie zamalował w pysk. Miał powód – ów goprowiec uratował kiedyś bacz po ukąszeniu żmii, aplikując mu surowiec.

W Stuposianach, w magazynie Zarządu Budownictwa Łęśnego, górale magazynowali uwędzone w baciówkach oscypki. Leżały równo w drewnianych skrzynkach od podłogi po sufit. A świeże pachniały tak kusząco, że dzieciaki wdrapwały się na wysokość okienka pod dachem i, podtrzymywane przez kolegów, wciśkały nosy przez wybitą szybę. Jak naglejebiej, by mocno poczuć wyrzeźbione góralskimi dłońmi sery. Niektórzy z dorosłych dziwili się tej dziecięcej ciekawości,



Młody juhas z okolic Ustrzyk Górnych przygrywa na harmoszcze

trafili rozwiązać inaczej niż przy pomocy pięści, a w skrajnych wypadkach – wyciągniętego zza paska u spodni noża. Słynne bijatki rozgrywały się najczęściej w trakcie sobotnich zabaw. To już było w latach sześćdziesiątych. Z połowy Bieszczadów ludzie ściągali do „Pulpitu” w Ustrzykach Górnych, gdzie przy muzyce, secie i galarecie dawali upust nagromadzonemu przez tydzień emocjom.

Raz milicyjne raporty odnotowały nawet śmiertelny wypadek, gdy góral za mocno dźgnął kozikiem pewnego inżyniera, ale nie stało się to na zabawie, a w zupełnie innych okolicznościach i podobno bez powodu. W knajpie w wyniku licznych potyczek szczęśliwie nikt nie padł trupem, chociaż krew lała się obficie, niejeden kufel roztrzaskał się o czyjś łeb i niejedna „zawodnik” wypuścił zęby.

Po jednej z takich potyczek wybuchła afera. Otóż któregoś letniego dnia na piwo do „Pulpitu” wybrał

a nawet się śmiali. Zapewne dlatego, że przed oczami stawał im obraz dojącego owcę juhasa o rękach czarnych jak ziemia, któremu mleko z wyciskanych cycek zalewało palce i mieszało się z resztkami zwierzęcych odchodów. Ale nie brakowało smakoszy, którzy oscypki jadalni na co dzień.

Górale mieli dobre układy z załogą ZBL. Robotnicy uczcili ich czasami darmowego noclegu. Ostatni pekaes dojeżdżał do Stuposian o godzinie dwudziestej, więc do baciówki w Dźwiniaczu czy Sokolikach juhas mógł dotrzeć tylko piechotą. Umęczony, wołał poprosić o przenocowanie, tym bardziej że po zmroku nie kursowały w tym kierunku żadne prywatne i państwowe samochody.

CZYTAJ STR. 61

Przeczytaj te i inne reportaże w:

